

Juliusz Domański

Przemówienie inauguracyjne prof. dr hab. Juliusza Domańskiego z dn. 3 XI 2010 r.

Colloquia Litteraria 1/2/8/9, 171-186

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**PRZEMÓWIENIE INAUGURACYJNE
PROF. DR HAB. JULIUSZA DOMAŃSKIEGO
Z DN. 3 XI 2010 R.**

Szanowny Panie Rektorze, Szanowny Panie Dziekanie, Koledzy z UKSW, Filologowie i nie-Filologowie, Młodzieży droga, która zczynasz tutaj studia filologii klasycznej!

Po tym pięknym wykładzie, mówiącym o rzeczach niezmiernie ważnych i w sposób akademicki¹, chciałbym zaprezentować – jak to zostało w programie zaanonsowane – coś w rodzaju gawędy, ale nie takiej gawędy, jaką reprezentują satyry Horacego, ale takiej sobie opowieści starego człowieka, który inne czasy reprezentuje niż dzisiejsze, a wspomnienia jego ciągle jeszcze są żywe.

Najpierw jednak chcę wyrazić radość z tego oto faktu, że studia filologii klasycznej zostały tutaj, na tym uniwersytecie, zapoczątkowane. Ten uniwersytet nie jest dla mnie miejscem ani nowym, ani obojętnym, tym bardziej że tak się złożyło, że jego poprzedniczka, Akademia Teologii Katolickiej, powstawała w mojej przytomności, w mojej obecności. Brałem udział jeszcze jako człowiek bardzo młody w inauguracji tamtej uczelni, potem przemiana jej (bo to chyba tak trzeba nazwać) w Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego była dokonana w taki sposób, że tego nie śledziłem, ale wiedziałem, że to się dokonuje. No więc ta uczelnia reprezentuje tradycję dawną, to jest ATK powstała w roku 1954, w okropnych czasach, jako taki przymusowy twór skomponowany z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Warszawskiego i z takiegoż wydziału Uniwersytetu Jagiellońskiego i funkcjonującą przez lata całę bardzo, bardzo pozytywną rolę odgrywającą. Ja tutaj miałem przyjemność i zaszczyt nauczać już jako czło-

¹ Chodzi o wykład wygłoszony na inauguracji przez prof. Jerzego Wojtczaka-Szyszkowskiego na temat literatury hagiograficznej.

wiek dorosły w latach osiemdziesiątych, przez pięć lat. Więc to środowisko jest mi w tym sensie bliskie, jest ono jakoś moje.

Tym większa jest radość moja, że takie studia tutaj powstają, takie studia jakby alternatywne w stosunku do studiów filologii klasycznej na starym Uniwersytecie Warszawskim. Środowisko filologiczne Uniwersytetu Warszawskiego zrazu wiadomość o pomysśle stworzenia tutaj studiów filologii klasycznej przyjęło z bardzo ambiwalentnymi odczuciami. Koledzy tamtejsi wyrażali czasem zaniepokojenie, że oto rozprasza się kadre, i tak szczupłą. Ja od początku byłem świadomy, że tu jest szansa stworzenia studiów właśnie alternatywnych, studiów jakby komplementarnych w stosunku do tych, które prowadzi Instytut Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego. I to się właśnie realizuje. Wykład dzisiejszy, inauguracyjny, bardzo trafia w te tendencje, które tutaj są żywe i którym życzę, żeby były, żeby się realizowały bardzo pomyślnie. Jest to mediolatynistyka, ale jest to także, jak myślę, patrologia, nie patrologia doktrynalna, tylko patrologia filologiczna, jest to historia literatur i języków starożytności chrześcijańskiej. To chyba powinny być tutaj dwa główne nurty i nauczania, i badań. To tyle mojej deklaracji, okazjonalnej. Ponieważ tutaj jestem, chciałem zaznaczyć, że nie jestem tutaj gościem ani przypadkowym, ani nowym. Ja tu bywałem od lat wielu.

Teraz przechodzę do tematu właściwego, do tematu mojej gawędy, do moich wspomnień. Zacząłem studia filologii klasycznej (zresztą nigdy żadnych studiów systematycznych innych nie robiłem, choć jako profesje uprawiałem potem, nie powiem najrozmaitsze, ale przynajmniej dwie dziedziny, filologię i historię filozofii) w roku 1947, to znaczy sześćdziesiąt trzy lata temu! To jest wiek całkiem godziny całego życia ludzkiego, te sześćdziesiąt trzy lata. W zupełnie innych czasach to było, w czasach powojennych, prawie na gruzach, nawet dosłownie na gruzach Warszawy. Te czasy były pod różnymi względami bardzo odmienne i także życie uniwersytetu, które się dopiero budziło, które się organizowało, budowało, było inne, niż dzisiaj jest życie uniwersytetów. To był trochę, może nawet bardzo inny świat, chociaż jednocześnie był to ten sam świat, te same studia, jeśli

chodzi właśnie o filologię klasyczną – ta sama materia do opanowania, to samo zauroczenie tym, co jest przedmiotem tych studiów.

Ja chcę wypowiedzieć najpierw taką refleksję dotyczącą ilości, liczby i wykładowców, i studentów. Kiedy ja przyszedłem na studia do Uniwersytetu Warszawskiego jesienią 1947 roku, zastałem tam czworo nauczających. To był cały personel na studiach filologii klasycznej, personel dydaktyczny, nauczający. Ale również mała była liczba przyjętych na te studia studentów. W moim roczniku była to dokładnie ta sama liczba, było nas przyjętych czworo. Tak się złożyło, że z tych czworga po roku dwoje odeszło gdzieindziej i potem przybyły dwie osoby, dwóch kolegów z innych uniwersytetów, i taka czwórka z tego rocznika dotrwała do końca, do magisterium. Ale mało tego: ta czwórka – i to jest rzecz zupełnie wyjątkowa – pozostała mniej lub bardziej w obrębie zawodu i pozostała przy pracy naukowej, w rozmaitych formach, ale troje z nas uzyskało profesurę. Jest tu na sali moja koleżanka z roku, pani profesor Wanda Popiak – to jest ta druga, która ze mną zaczęła i doszła do spełnienia akademickiej kariery; to jest, dalej, profesor Władysław Seńko – nie tutaj, ale jest, żyje jeszcze jak i my, nasz kolega z roku, który wprawdzie jest profesorem filozofii, ale zaczynał od filologii klasycznej – jest profesorem filozofii, bardzo znakomitym badaczem filozofii średniowiecznej, i europejskiej, ogólnej, i polskiej także; i jest ktoś, kto nie poszedł drogą pracy naukowej, ale pozostał w obrębie uniwersytetu – to jest doktor Zdzisław Piszczek, doktor filologii klasycznej, który całe życie był bibliotekarzem, nie bibliotekarzem tuzinkowym, ale bibliotekarzem z pomysłami, z inwencją, bibliograf także, czyli też się spełnił jakoś w tej swojej dziedzinie naukowej, dla której przyszedł na studia uniwersyteckie. Taka jest, powiadam, ta nasza sytuacja, zupełnie wyjątkowa. Takie sytuacje się nie powtarzają. Tu prawie sto procent pozostało w zawodzie. Naturalnie na innych rocznikach nie było tak.

Ale wracam do pierwszego wątku: to były roczniki nieliczne. One potem troszkę przyrastały liczbowo, były trochę większe, ale zawsze była to mała garstka studentów i nauczana przez czworo ludzi nauczających w tamtych latach, na przelomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, i jeszcze jakiś czas potem. Profesor Wojtczak mógłby tu pewnie

jakieś korektury wprowadzić, bo jest o jakieś pół pokolenia młodszy ode mnie i ma inne wspomnienia, ale zawsze ten personel nauczający na filologii klasycznej był w dawnych latach szczupły.

Chciałbym oddać hold tą swoją gawędą moim nauczycielom akademickim. Mówię rzeczy, które można będzie, jeśli ktoś nie czytał, przeczytać w „Meandrze”, te moje wspomnienia zostały spisane, zostały też opublikowane te wspomnienia ze studiów – jakiś rok temu chyba albo niecały rok temu w „Meandrze”. Powtarzam teraz rzeczy, które tam napisałem, ale chcę je powtórzyć celowo, bo „Meander” jest pismem niszowym, mało kto go czyta, więc niech taki będzie przedmiot tej gawędy.

Czworo nauczających, dwie panie, dwóch panów. Panowie byli profesorami, już spełnionymi: Adam Krokiewicz, rocznik 1890, czyli jeszcze urodzony w wieku XIX, profesor zwyczajny już wtedy, w 1947 roku, i Kazimierz Kumaniecki, rocznik 1905, więc już człowiek zupełnie XX wieku; kiedy ja przyszedłem na studia, był jeszcze profesorem nadzwyczajnym, młodym bardzo, miał czterdzieści dwa lata, później – po paru latach – dostał dopelnienie tej swojej profesury jako profesor zwyczajny. Obaj znakomici filologowie: to są dziś nazwiska znane, zwłaszcza nazwisko Kazimierza Kumanieckiego jest bardzo znany, nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Dwóch takich panów znakomitych już wtedy. Dwie panie nadto pomocnicze siły, które były z doktoratami przedwojennymi. To była pani doktor Maria Maykowska i pani doktor Lidia Winniczuk, osoby, z których ta druga równolegle była profesorem łaciny w gimnazjum i liceum ówczesnym, ta pierwsza była również profesorem języków klasycznych w gimnazjach i liceach warszawskich przed wojną, po wojnie już nie.

A to jest okazja, żeby wydobyć na światło dzienne inną jeszcze osobliwość tamtych czasów, pewien relikwyt jeszcze dawniejszych czasów przedwojennych, taki oto, że profesorowie uniwersyteccy, pracownicy dydaktyczni i naukowcy uniwersytetów, bywali, nawet z reguły byli jednocześnie – jeśli chodzi o filologów klasycznych, ale także o polonistów, ale także o romanistów czy germanistów – jako pracownicy uniwersytetu zatrudniani w młodych zwłaszcza latach także w szkolnictwie średnim. To była bardzo piękna i bardzo pożyteczna tradycja,

bardzo owocny zwyczaj, bo myślę, że kontakt nauczycielski ze szkołą średnią, którego na przykład ja osobiście nigdy nie miałem, nauczycielska funkcja sprawowana w tej szkole, ogromnie była pomocna w kształtowaniu także dydaktyki uniwersyteckiej. Ja nie będę tego próbował uzasadniać, nie warto. Jak się obmyśli sprawę, to się dojdzie do tego samego co ja wniosku. Otóż moi nauczyciele akademicy wszyscy tę drogę przeszli: i Kazimierz Kumaniecki jako docent młody w Krakowie uczył w tamtejszym gimnazjum jednym czy paru, i Adam Krokiewicz też był nauczycielem szkolnym, nawet we Lwowie – jeśli dobrze pamiętam jego życiorys. Po wojnie taki zwyczaj się utrzymał. Różni znani filologowie klasyczni, nie będę wymieniał nazwisk, bo nie warto tutaj przedłużać tej mojej gawędy, wiem, że byli zaraz po wojnie, dopóki uczono w szkole języków klasycznych, a w szczególności łaciny, byli, pracując na uniwersytecie, nauczycielami także szkolnymi. To znikło zupełnie. I to jest wielka szkoda, moim zdaniem. Wielka szkoda. Znikło to, bo szkoły średnie tylko bardzo wyjątkowo mają języki klasyczne, łacinę, a greka to już w ogóle jest rzadkość nad rzadkościami.

Takie więc były warunki pracy tych moich nauczycieli akademickich. Profesorowie moi już nie uczyli w szkole za moich studiów, natomiast panie pomocnicze: Maria Maykowska była adiunktem, Lidia Winniczuk starszym asystentem, jedna z nich jeszcze po wojnie uczyła w szkole, a przed wojną obie były właśnie nauczycielkami szkolnymi.

To i nie tylko to, bo i talenty przecież osobowe, jakieś właściwości indywidualne moich nauczycieli uniwersyteckich, sprawiły, że to byli znakomici nauczyciele, wszyscy czworo bez wyjątku – bardzo zróżnicowani, bardzo niejednakowi, rozmaite dziedziny specjalistyczne reprezentujący, ale byli to nauczyciele znakomici.

Parę słów chcę powiedzieć o toku studiów tej małej grupki studentów. Były cztery lata studiów wtedy (nie pięć lat trwały studia uniwersyteckie, tylko cztery lata). Przez te cztery lata tych osób w Uniwersytecie Warszawskim studiujących filologię klasyczną nazbierało się w sumie oczywiście sporo więcej, ale nie przypuszczam, żeby suma studentów na wszystkich czterech latach przekraczała liczbę trzydzie-

ści. Tak ja oceniam, tak szacuję, że było nas na wszystkich czterech latach przez wszystkie lata moich studiów nie więcej jednocześnie niż trzydzieści osób. Taka mała grupa studentów stwarzała komfortowe warunki nauczania, a także budziła bardziej chyba, niż to jest możliwe w gronie, w zbiorowisku większym, jakąś samodzielność tych studiów. Od razu taki fakt przytoczę: myśmy nie mieli żadnych wykładów kursorycznych – nie, źle mówię, nie tak było, że żadnych: nie mieliśmy wykładów kursorycznych z literatur antycznych. Tego się nie nauczano, tego się student musiał nauczyć sam z książek. Profesorowie mieli wykłady monograficzne. Krokiewicz zajmował się zawsze filozofią starożytną, był od tego specjalistą. Był filologiem klasycznym, ale właściwie był historykiem filozofii starożytnej. Duży dorobek w tej dziedzinie, bardzo duży dorobek zostawił. Dodam nawiasem, że przez lata był zapomniany po swojej śmierci, nawet za jego życia jakoś nie bardzo skwapliwie czytany, ale teraz, myślę, jest na lepszej fali. Teraz wydano na nowo pisma Krokiewicza, właśnie te z historii filozofii, i one jakoś w obiegu czytelnictwa funkcjonują. Wykładał więc filozofię starożytną, a to były takie monograficzne wykłady o różnych filozofach. Był wykład o Leukipposie i Demokrycie, jak ja przyszedłem na pierwszy rok. Potem był wykład o Sokratesie. Wykładał też Krokiewicz gramatykę historyczną. To właśnie był wykład kursowy, to był wykład taki właśnie elementarny. Gramatykę historyczną grecką i łacińską wykładał, oszczędzając studentom niełatwego zadania nauczania się tego wtedy z podręczników. Polskich podręczników prawie nie było, był Otrębskiego i Safarewicza, podręcznik gramatyki historycznej greckiej dla sławistów, łacińska istniała w gramatykach elementarnych polskojęzycznych tylko zarysowo, a z obcych trudno się było uczyć, bo były to wielkie dzieła naukowe, pięknie dokumentowane, gramatyka Kühnera, Brugmanna, i to dla studenta było za trudne, nie mówiąc już o barierze językowej – nie każdy znał niemiecki; była też francuska gramatyka grecka historyczna Chantraina; albo były takie skróty jak Kiekers, z których trudno było się też uczyć, bo to było tak skomplikowane, że aż nieczytelne. Ten wykład więc wyjątkowo był kursoryczny i bardzo użyteczny. Profesor Krokiewicz go właśnie prowadził dla wszystkich studentów,

dla tych najmłodszych, tych, którym właśnie przyszła pora, żeby się zapoznali po elementarnym kursie greki i jakimś wyższym kursie łaciny z gramatyką historyczną. A poza tym były wykłady monograficzne. Jak ja przyszedłem, pamiętam, profesor Kumaniecki wykladał Cicerona, był to wykład po prostu zatytułowany „Cyceron”, i był wykład „Kultura starożytnej Grecji i Rzymu”. To były zaczątki jego dwóch wielkich książek: znakomitej monografii Cicerona, tłumaczonej na włoski, on to wtedy miał jakoś naszkicowane i korzystał z tego szkicu przy wykładach, a potem nad tym pracował i piękną książkę wydał, książkę, która miała już chyba co najmniej dwa wydania w Polsce, którą przetłumaczono, jak wspomniałem, na włoski, która więc jest książką na świecie znaną. Jest też druga książka Kumanieckiego, funkcjonująca po dziś dzień jako podręcznik kultury starożytnej greckiej i rzymskiej. Wtedy właśnie ona powstawała, jakiś pierwszy jej zarys już był napisany – i to był drugi wykład profesora Kazimierza Kumanieckiego, którego na pierwszym roku słuchałem.

Jeśli chodzi o dwie panie pomocnicze, to Maria Maykowska była nauczycielem greki, prowadziła lektorat elementarny i lektorat wyższy, a także lektury prozaików greckich albo też poetów; pamiętam, chodziłem na taki jej wykład – lekturę „Iliady” Homera. Pamiętam, że z nią czytałem XXIV księgę „Iliady” na tym wykładzie, to znaczy ona czytała to i tłumaczyła, i objaśniała. Lidia Winniczuk była wykładowczynią łaciny. Miała lektorat wyższy łaciński – właściwie dla wszystkich chętnych studentów, nie tylko filologii klasycznej, ale myśmy przychodzili nawet na ten lektorat już poduczeni, co dzisiaj znowu byłoby niezwykle, dziś inna jest sytuacja. Myśmy wszyscy mieli łacinę w szkole średniej. Greci niestety już nie było.

Tu trzeba wrócić jeszcze do nieistniejącego już tyle lat, wiek cały i więcej, systemu szkolnictwa średniego klasycznego, które istniało, szkolnictwa sławetnego czy sławnego, można złośliwie to traktować, można poważnie i pozytywnie, do szkolnictwa galicyjskiego, czyli austriackiego, niemiecko-austriackiego, ale także carskiego – w Królestwie Kongresowym. Gimnazjum i liceum klasyczne, gdzie osiem lat uczono łaciny i pięć lat, jeśli dobrze wiem, greki. Obu więc języków klasycznych. Absolwenci, maturzyści, którzy z tego typu szko-

ly średniej wychodzili, to byli ludzie biegli w tych językach, naprawdę biegli. Zapominali je naturalnie w życiu zawodowym, jeśli nie byli filologami, ale wynosili znajomość świetną. Za moich czasów, już po reformie, tak zwanej jędrzejewiczowskiej z lat trzydziestych, ten typ gimnazjum i liceum ostał się w szczątkowej ilości. To, co było masowe, to było gimnazjum i liceum wyprofilowane: bądź humanistyczne, bądź matematyczno-przyrodnicze. W profilu humanistycznym sześć lat nauki łaciny było: cztery lata w gimnazjum i dwa lata w liceum. W każdym razie ten kurs łaciny był solidny, te początki gimnazjalne, one już też obejmowały lektury autorów, autentycznych tekstów, nie upraszczanych, i to wcale w niemałych ilościach, lektury prozy i poezji także, a potem w liceum czytało się już wyłącznie autorów, i to autorów wyszukanych – prozaicznych, bywało, że i Tacyta czytano, trudnego przecież bardzo, Liwiusza, Cyncerona, ale i z poetów Horacego – jego pieśni i satyry, i epody, wszystko to było już w szkole średniej, w jej profilu humanistycznym. Nie było jednak w nim po reformie jędrzejewiczowskiej greki. Moi rówieśnicy i ja sam przyszliśmy więc z dobrą znajomością łaciny. To, czegośmy się musieli nauczyć od początku, to była greka. Takich, którzy przyszli z greką, na naszym roczniku nie było. Byli z elementami greki ludzie postronni. Pamiętam taką studentkę, niesamowicie zdolną, medycyny i filozofii równoległe, która przychodziła do pani doktor Maykowskiej na grekę (nazwiska oczywiście zapomniałem). Ona się uczyła greki i była świetną grecystką, świetnie jej to szło. Dla studiów swoich filozoficznych chciała grekę poznać.

Tutaj był więc dla nas na pierwszym roku lektorat elementarny, on trwał rok. To był zupełny maraton. Jeśli dobrze pamiętam, to mieliśmy albo trzy razy po dwie godziny, albo może nawet cztery razy w tygodniu. To była wielka praca. Podręcznikiem był służący po dzień dzisiejszy, jeszcze niezłuzowany przez Małgorzaty Borowskiej „Mormolyke”, tak zwany „Golias”, czyli profesora Mariana Goliasa podręcznik elementarnej greki, bardzo dobry podręcznik. Myśmy w ciągu roku z panią doktor Maykowską cały ten podręcznik musieli przerobić, a byliśmy jeszcze na moim roku tak pracowici i tak pilni, że w trzecim trymestrze (bo taki był układ czasowy studiów: był pierw-

szy trymestr do Bożego Narodzenia, drugi trymestr do Wielkanocy i trzeci trymestr od Wielkanocy do wakacji), skończywszy rudementy podręcznika Goliasa, z panią dr Maykowską czytaliśmy, pamiętam świetnie, tekst grecki, łatwy – „Anabasis” Ksenofonta: ciągleśmy na każdym lektoracie pokonywaliśmy z Grekami wracającymi z Azji tyle i tyle parasangów. Zobaczycie, studenci, jeżeli nie znacie jeszcze greki, a będziecie czytali Ksenofonta „Anabazę” – tam się ciągle o tych parasangach, czyli jakichś takich milach, mówi.

To był więc wstępny kurs, potem był wyższy lektorat grecki, gdzie się już z panią Maykowską czytało utwory prozaiczne (albo też poetyckie, bo taki wykład był, lektura-wykład, jak już mówiłem, z XXIV księgi „Iliady”). Więc na lektoracie samym czytałem z nią, pamiętam to dobrze, „Charmidesa” Platona, uroczy tekst. Świetnie to prowadziła. To była znakomita nauczycielka, ogromnie surowa, ogromnie wymagająca, ale skutecznie wymagająca, bardzo dobra.

Na lektoracie wyższym łaciny czytało się z Lidią Winniczuk oczywiście też teksty autentyczne. Pamiętam lekturę na tym wyższym lektoracie czwartej mowy Cycerona „De signis” z werrynek, tego cyklu mów przeciwko Werresowi, a ta mowa dotyczyła jego łupiestwa na Sycylii i jego przywłaszczania sobie cennych dzieł sztuki. Taki mieliśmy tekst na wyższym lektoracie. Ten lektorat obsadzony był studentami licznymi. To nie było tak, że myśmy tylko we czworo tam z niego korzystali, tak samo zresztą jak na lektorat grecki, jeden i drugi, przychodzili studenci z różnych kierunków studiów, na przykład na elementarnej grece na pierwszym roku mieliśmy kolegów z istniejącego wtedy jeszcze na UW i jeszcze parę lat potem Wydziału Teologii Protestanckiej, mieliśmy kolegów Czechów, ze Śląska Cieszyńskiego, mieszanego ludnościowo, którzy umieli po polsku. Oni studiowali teologię protestancką w Warszawie i na filologii klasycznej byli obsługiwani przez nauczającą panią doktor Maykowską właśnie tym lektoratem. Jeszcze inni tam przychodzili, sławiści przychodzili, ta dziewczyna, o której wspomniałem, studentka medycyny i filozofii, więc było nas więcej na tych lektoratach, także na łacińskim; tam przychodzili rozmaici historycy na przykład, tak że i jedno, i drugie to było obsadzone studentami całkiem licznie. To nie były jakieś tam wiel-

kie liczby, ale kilkanaście osób, przypuszczam, regularnie na te zajęcia chodziło.

Nasze filologiczne zajęcia miały swój tryb, który dzisiaj się już nie powtarza w takiej formie, ale coś, jakieś tam relikty z niego, jednak zostały. Musiała być jakaś kolejność, jakieś następstwo tych studiów. Trzeba było najpierw, żeby wyższe umiejętności móc zdobyć, zdobyć niższe, więc lektorat języka elementarny, potem osvajanie się z coraz trudniejszymi tekstami. Pierwszym takim zajęciem, już zasadniczo tylko dla filologów klasycznych, było proseminarium: proseminarium greckie, które pani Maykowska prowadziła, i proseminarium łacińskie pani Winniczuk. Pamiętam, już o tym wspomniałem, że na proseminarium greckim był dla mojego rocznika „Charmides” Platona; nie był przedmiotem lektoratu, tylko proseminarium: chyba nie myślę tych przedmiotów wspólnych lektur greckich, ale swoją drogą trudno takie szczegóły po tylu latach pamiętać. Za to pamiętam świetnie łacynistyczne, łacińskie proseminarium z doktor Lidią Winniczuk, gdzieśmy czytali elegie miłosne Tibullusa. Tak mi się to skojarzyło z nią i tak też ją pamiętam przede wszystkim jako tę osobę, z którą czytałem Tibullusa. Proseminarium było jeszcze takim ćwiczeniem językowym, takim na jeszcze wyższym poziomie, takim wyspecjalizowanym, już, powiedzmy, z przyswajaniem sobie przez studentów jakichś ważnych elementów treści i formy literackiej tych utworów, jakichś charakterystycznych dla gatunku literackiego cech formalnych, jakiejś topiki (tutaj: topiki elegii miłosnych).

Odrobienie proseminarium było warunkiem przyjęcia na seminarium. Seminarium to już była przede wszystkim krytyka filologiczna tekstu. Oczywiście nie robocza, nie twórcza, tylko odtwarzana z aparatów krytycznych wydań. Ja miałem oba seminaRIA – i greckie, i łacińskie – u profesora Kumanieckiego. Tak się złożyło, taki też był mój kaprys. Do profesora Krokiewicza chodziłem tylko rok – na seminarium łacińskie. On zawsze prowadził w tamtych latach seminarium łacińskie z Lukrecjusza, i to z trzeciej księgi jego poematu. Bardzo to świetnie robił, to seminarium było ogromnie instruktywne. Dziwię się, że jemu się to powtarzanie nie znudziło, ale można się zakochać w przedmiocie i – jak się jest zakochanym – znudzenie nie przychodzi.

Seminaria więc były już dla mających niezbędne kwalifikacje, trzeba było być zaawansowanym, odrobić proseminarium i seminarium to już była jakby pełnia tej przede wszystkim językowej edukacji.

Mieliśmy oczywiście też egzaminy i kolokwia, tak jak to i dzisiaj jest – i nie tak jak to dzisiaj jest: kolokwia zdawane z tekstów, z samodzielnych lektur tekstów. Tych kolokwiów i tych tekstów było dużo. Myśmy mieli ich właściwie ilość dzisiaj raczej dla współczesnych studentów niewyobrażalną. Było tak, że jak się miało na trzech latach zaliczone kolokwia, to z czwartego roku profesor mógł zwolnić: jeśli uznał, że student wystarczająco się napracował, i nie egzekwował tych kolokwiów z czwartego roku. Tak to pamiętam, może niedokładnie, w każdym razie lektur było dużo. Wystarczy powiedzieć, że na pierwszym roku były dwie księgi „Tuskulanek”, niekoniecznie zresztą „Tuskulanek”, to były ogólnie dwie księgi dialogów Cycerona – jakichkolwiek. Było też sześć ksiąg „Eneidy” Wergiliusza, czyli według dzisiejszych norm bardzo dużo, ale myśmy byli latynistycznie dobrze przygotowani, myśmy byli w stanie to stosunkowo szybko przeczytać i wykazać się dobrym rozumieniem tych tekstów na kolokwium. Ale to tylko jako przykład latynistyczny dałem. Na drugim roku trzeba było przeczytać w oryginale dwa dialogi Platona – po tym rocznym lektoracie. To była wielka praca, ciężka praca. Tych lektur tekstowych więc było dużo, dzisiaj jest ich znacznie mniej. Nie wiem, jak tutaj będzie, ale przypuszczam, że do jakiegoś standardu *quantum* lektur będzie dostosowane.

Jeśli chodzi o egzaminy, to było ich liczbowo bardzo mało. Mieliśmy przez całe studia tylko osiem egzaminów, ale jakież to były egzaminy! Już nie pamiętam w tej chwili, czy się zdawało obie literatury starożytne jako jeden, czy jako dwa egzaminy. Tak czy owak, było czytania a czytania. Same opracowania podręcznikowe wymagały mnóstwa czasu. Doskonale pamiętam, że do egzaminu z literatur antycznych obu przygotowywałem się półtora roku. Dokładnie tyle, nie mniej. Pierwszy egzamin, który trzeba było zdać, był z tak zwanego wstępu do filologii klasycznej. Przedmiotem jego była dość elementarna historia starożytna grecka i rzymska. Był też podręcznik kultury antycznej. Nie Kumanieckiego, który, jak wspomniałem, miał wte-

dy wykład z tej kultury antycznej przez parę lat, ale swoje wielkie jej opracowanie wydał dopiero parę lat później, Do egzaminu, który zalecone było zdać pod koniec pierwszego roku, przygotowaliśmy się z innego zarysu kultury starożytnej, autor chyba się nazywał Szczepański, może Jan Szczepański. W zakres tego egzaminu wchodził też bardzo elementarny, ale bardzo dobrze w tych podręcznikach pomyślany, kurs sztuki greckiej, taka miniarcheologia. To trzeba było zdać jako pierwszy egzamin, pożądane było, jak mówiłem, żeby pierwszy rok tym zamknąć. Potem dopiero można było zdawać następne egzaminy – w dowolnej kolejności. Nie było kolejności przepisanej, w dowolnych też terminach. Zasadniczo podczas sesji egzaminacyjnej, ale można było umówić się z profesorem na egzamin poza terminem sesji. Ta dowolność generowała tak zwanych wiecznych studentów, pewna liczba tej populacji przekształcała się w wiecznych studentów – gdzieś tam szli do pracy zarobkowej, a tutaj mieli te egzaminy, wisiały na nich, więc powoli sobie to odrabiali i potem pisali prace magisterskie. Staraliśmy się w cztery lata kończyć studia, po czterech latach zdawać egzamin końcowy, magisterski, który był egzaminem – relikty jego zostały do tej pory – takim oto, że trzeba było zaprezentować umiejętność czytania *a vista* Homerowej *Iliady*, nie było powiedziane które księgi, tylko którakolwiek mogła być przedmiotem lektury na końcowym egzaminie, a już od kaprysu profesora zależało, czy powiedział studentowi, żeby sobie na egzamin końcowy, magisterski, przygotował – powiedzmy – księgę alfa, gamma i epsilon, czy nie powiedział. Trzeba więc było Homera opanować tak, żeby *a vista* umieć go przetłumaczyć i jakoś tak elementarnie na tym egzaminie, a przedmiotem objaśniania była prawie wyłącznie grecka gramatyka historyczna. Drugim autorem egzekwowanym na egzaminie magisterskim był Horacy, cztery księgi jego „Pieśni”.

Taki był wtedy przedmiot i taki kierunek egzaminu magisterskiego, który miał sprawdzić biegłość językową absolwenta w obu językach.

Praca magisterska też była trochę inaczej traktowana niż dzisiaj. Mianowicie większy nacisk kładziono – jak w ogóle w całym studiach, w całym toku studiów – na dobre opanowanie obu języków klasycznych, możliwie perfekcyjne opanowanie obu języków klasycz-

nych, łaciny także aktywne, nie tylko bierne. Prace magisterskie – na ogół były to krótkie, powiedzmy dwudziestostronicowe, trzydziestostronicowe wypracowania, dość elementarne, bez wielkich wymagań erudycyjnych, bez jakiejś rozbudowanej bibliografii, ale te prace musiały być napisane po łacinie. To był jeszcze jeden element tego nacisku położonego na wykształceniu językowym, tego pierwszeństwa, priorytetu wykształcenia językowego nad literackim i kulturowym. Egzamin z historii literatury były, ale naprawdę – jeśli dobrze pamiętam, może przekłamuję, może źle pamiętam – wymagania nie były wysokie. Jeżeli ktoś chciał, to naturalnie mógł sobie do egzaminu z literatury greckiej przeczytać, co mnie się zdarzyło, „wielkiego Sinkę”, tę wielotomową historię literatury greckiej, która wtedy jeszcze nie była doprowadzona do końca – ja pamiętam, że dla równowagi doczytywałem z niemieckiego handbuchu Christa grecką literaturę późniejszą. A jeśli chodzi o łacińską, to wymagano zasadniczo tych kilku tomów literatury rzymskiej Kazimierza Morawskiego, ale był też tak zwany „mały Morawski”, taka jednotomowa skrócona historia literatury rzymskiej, poprowadzona przez tego wielkiego filologa krakowskiego aż do późniejszych czasów, do V chyba wieku. Studenci na ogół oszczędzali sobie pracy, uczyli się z tego „małego Morawskiego”, ale kto był pilny, to i „dużego” przeczytał, ale i to nie była bardzo wielka lektura. Natomiast czytanie Sinki – nie było jeszcze wtedy tego skrótu dwutomowego – to była pracowita rzecz, ogromnie pożyteczna, ale raczej – rzecz na amatora.

Takie więc te studia były. Jak mówię, nacisk główny polegał na szkoleniu językowym albo też to szkolenie miało za cel przede wszystkim wykształcenie nauczycieli języków klasycznych w szkole średniej. Na drodze naukowej czy jakiegokolwiek innej – mogło się iść pracować do wydawnictw, powiedzmy – mało kto wtedy zostawał. Zapotrzebowanie na filologów klasycznych było zasadniczo w szkole średniej, szkole działającej ciągle jeszcze wedle reformy jędrzejewiczowskiej, gdzie przez sześć lat uczono łaciny. To się jednak systematycznie w PRL-u kurczyło, było dość długo obcinane, redukowane, jak tylko można było zredukować. Dziś mamy oplakane skutki tego stanu rzeczy. Wiemy, że tylko w nielicznych liceach dzisiaj uczy

się łaciny, a zupełnie wyjątkowo, na ochotnika, uczą młodzi ludzie w szkole średniej greki.

To jest bardzo niedobry stan. Ja zwracam się tu do młodych ludzi, do przyszłych filologów klasycznych, ale także do starszych, do moich kolegów. Nie wiem, jaką drogą można by się skutecznie starać tak zreformować system oświaty, żeby jakoś sensownie topograficznie, geograficznie rozmieścić, stworzywszy je najpierw, odtworzywszy je najpierw, takie szkoły średnie, w których będą klasy z językami klasycznymi. Bo to, co teraz jest, stwarza przecież sytuację niedobłą dla tych języków, a więc i dla wszelkich w ogóle studiów klasycznych, i nie tylko klasycznych, dla studiów humanistycznych w ogóle. Młodzież przychodzi na studia, także filologii klasycznej, w ogromnej większości nawet bez elementarnej znajomości łaciny, nie mówiąc już o grece. A to jest znajomość, której się nie nabywa z czwartku na piątek, naprawdę powoli się trzeba i jednego, i drugiego języka uczyć, nie inaczej. Pewnie, że są ludzie bardzo zdolni do języków, którzy są w stanie opanować szybko ten elementarny kurs jednego i drugiego języka. Ale normalny człowiek musi na to lata poświęcić, na jaką taką biegłość. Kiedyś profesor Tadeusz Kotarbiński powiedział mi w rozmowie: „A bo, proszę pana, to jest tak, że łaciny uczymy się przez całą młodość i na starość ją jako tako umiemy, a greki uczymy się całe życie i na starość jej też nie umiemy”. To jest wyjaskrawione, ale coś tam prawdy w tym jest. Tego więc się nie zdobywa z dnia na dzień, bo powinno się zaczynać bardzo wcześnie, możliwie na początku szkoły średniej. Wtedy, we wczesnej młodości, w dzieciństwie, łatwiej i lepiej się uczymy języków, niż wtedy, kiedy jesteśmy już dorośli albo wręcz przerośnięci. Szkolne nauczanie języków klasycznych – a jako minimum łaciny – to jest rzecz niezmiernie ważna, także z powodów, o których mówił profesor Jerzy Wojtczak, ale nie tylko z tych powodów, nie tylko dlatego, że ogromna część naszej literatury narodowej jest łacińskojęzyczna, nie tylko dlatego że pewne ważne rzeczy w kulturze – te elementy kultury umysłowej i duchowej Europy Zachodniej, ale nie tylko Zachodniej, naprawdę rozumieć można dopiero wtedy, kiedy się rozumie nośniki słowne, które tę kulturę zachowały i nam ją przekazują. To nie tylko dlatego, że przeszłość na-

sza zanurzona była w kulturze antycznej, ale i dlatego powinniśmy się uczyć języków klasycznych, że my wszyscy żyjemy dalej dziedzictwem antycznym. Są odpływy i przyplwy tego życia naszego dziedzictwem antycznym, ale ono jest niezbywalne dla naszej tożsamości, po prostu niezbywalne – w całości. Nie tylko filozofia, która się wybroniła przed czasem, jest taka, jak ją Grecy uprawiali, nadal aktualna. Można sobie dziś być platonikiem czy arystotelikiem, czy stoikiem, czy nie wiem czym tam jeszcze, i być wobec społeczności filozofem – równoprawnym obywatelem społeczności filozofów, tak jak jest się heideggerystą czy kantystą, czy nie wiem kim tam jeszcze z etykietką nowożytną i współczesną. Można być także dzisiaj teologiem, skoro tutaj jesteśmy na uniwersytecie katolickim, można uprawiać teologię i studiować poglądy Orygenesa czy Tomasza z Akwinu, czy kogoś innego takiego zanurzonego w tamtej dawności. Taka aktualność i aktualizacja jest oczywista. Ale jest też aktualność i aktualizacja literacka, aktualność taka oto, że nie możemy się wyrzec ani eposu greckiego, Homera, ani Sofoklesa, ani Alkajosa, liryki greckiej, ani dramatu. Nie możemy się wyrzec niczego z tej literatury, bo ona dalej jest żywa. Poeci, prozaicy współcześni nawiązują – nie zawsze to widać, nie zawsze to zdradzają, ale nawiązują do grecko-rzymskiego antyku, inspirują się tym. To jest po prostu dziedzictwo niezbywalne. Im bardziej będziemy je rozumieć w oryginalnych językach, w tych nośnikach słownych, autentycznie, w tych autentykach zachowanych w tekstach, tym będziemy je rozumieć lepiej. Tak jak archeolog nie może poprzestać na kopii dzieła sztuki, tylko musi oryginał badać, musi go podziwiać, właśnie ten pierwszy egzemplarz, a nie jego naśladownictwa.

Myślę, że takie przesłanie moje, do młodzieży zwłaszcza, jest tutaj na miejscu. Przez całe życie naprawdę efektywnie nic nie zrobiłem, nie umiałem zrobić nic w tym kierunku – i nie jest to łatwe – żeby spowodować jakieś zrozumienie u tych czynników publicznych, które powinny to rozumieć, które są decydentami w sprawach kultury i oświaty. To oczywiście nie jest łatwe, ale trzeba myśleć, jak nad tym pracować, aby decydenci kształtujący warunki studiów humanistycznych zrozumieli to, co tu starałem się powiedzieć.

Takie jest moje przesłanie po tych moich wspomnieniach, po tej gawędzie, do zaczynających studia klasyczne tutaj na tym uniwersytecie i do ich też nauczycieli. Życzę im, jednym i drugim, bardzo dobrej pracy, a zaczynającym studia bardzo dobrych studiów. I niech się w tych studiach swoich zakochają, tak jak ja się zakochałem za młodu. Potem, to prawda, przez lata całe uprawiałem także historię filozofii, ale to nie była moja pierwsza miłość, ta najważniejsza.

No to wszystkim wszystkiego dobrego!

Prof. dr hab. Juliusz Domański

(tekst autoryzowany – do druku przygotowała Dominika Budzanowska)